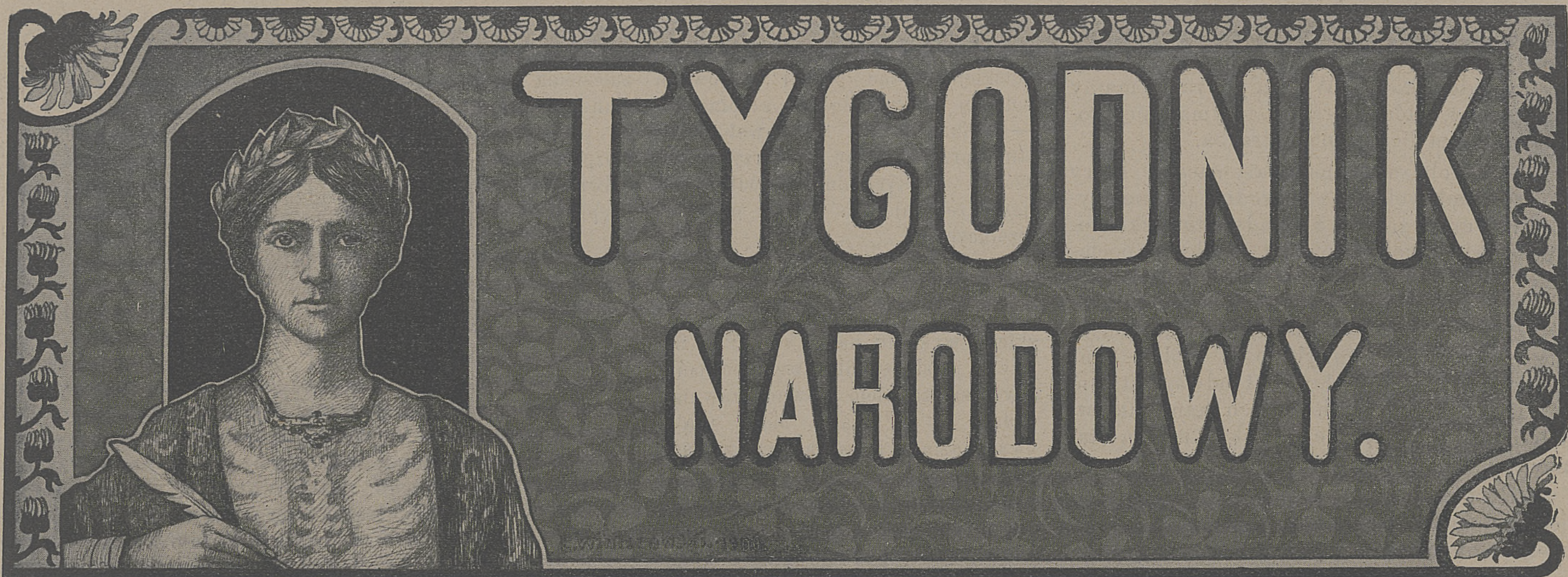
Rok 1900. Lwów, 9. września. Nr. 48.



Redaktor: Klemens Kołakowski. * * * * * * * * Redakcya i Administracya we Lwowie, przy ul. Klonowicza l. 3.

Treść Nr. 48:

Rozwiązanie Izby poselskiej.

Po licznych próbach, konferencyach i badaniach, szef gabinetu austryackiego przyszedł do przekonania, że jedynie rozwiązanie Izby poselskiej i odwołanie się do wyborców może uzdrowić nieznośne stosunki parlamentarne. To też, za zgodą wszystkich kolegów ministeryalnych, przedstawił już odnośny wniosek cesarzowi, a dziś, lub jutro ma pojawić się urzędowy dekret, rozwiązujący Izbę. Równocześnie gabinet ma podobno ogłosić komunikat od siebie, coś w rodzaju apelu do wyborców. Nowe wybory niezaraz jednak będą rozpisane.

Oto, wiązanka ostatnich nowin o losach austryackiego parlamentu. Niespodzianką one nie są. Już w czasie ostatnich obrad Izby poselskiej, kiedy obstrukcya czeska urządzała niesmaczne orgie, mówiono głośno w koluarach parlamentu o zamiarze rozwiązania Izby przez rząd. Wtedy w kołach polskich wyrażano przekonanie, iż dr. Koerber czuje żal do Polaków z powodu ich neutralnego wobec obstrukcyi stanowiska i rozwiązując parlament, pragnie między innemi osłabić także Koło polskie przy nowych wyborach. Ile było prawdy w tych rozumowaniach, nie wiemy, ale faktem jest, iż p. Jaworski niebawem porzucił bierne swe stanowisko i posłał Czechom pamiętne ultimatum: „Dotąd, a nie dalej!"

Skończyło się na zamknięciu Izby, z czego przewódcy Koła polskiego byli zadowolonymi.

Od tego czasu w wewnętrznem położeniu politycznem nic się napozór nie zmieniło. Czesi, jak byli, pozostali nadal nieprzejednanymi; stanowisko Niemców również w niczem nie uległo zmianie, Koło polskie miało podstawę wierzyć, iż jest bliższem rządowi, niż dawniej; ba, podnosiły się nawet głosy o projekcie utworzenia nowej większości bez Czechów i bez jakichkolwiek obstrukcyonistów;—a jednak dr. Koerber ucieka się do rozwiązania Izby...

Ze stanowiska rządu jest to, bądź co bądź, krok bardzo stanowczy i próba radykalna. Dr. Koerber, nie zmieniając na razie regulaminu Izby, może mieć tę jedynie kombinacyę, że z nowych wyborów wyjdzie ogromna większość ludzi, którym już sprzykrzyły się niemiecko-czeskie waśni narodowościowe i którzy — w interesie ekonomicznych potrzeb państwa, — zechcą i znajdą w sobie dość siły do usunięcia z dziennego porządku zarówno zakusów niemieckiej hegemonii, jak i pretensyj korony św. Wacława. Rząd rachuje w tej mierze na stronnictwa radykalne i socyalistyczne, wogóle na żywioły, które dotychczasowa polityka gabinetów starała się zawsze zwalczać i trzymać zdala od wpływu w parlamencie. Jest to zatem przesunięcie taktyki parlamentarnej i rządowej na lewo, ażeby wnieść do Izby atmosferę wręcz inną od dotychczasowej, chociażby nawet równie burzliwą, byle jeno nienarodowościową.

Prezes gabinetu zdecydował się na ten krok niewątpliwie po długiej i głębokiej rozwadze i obliczył zapewne dobre i złe strony takiej zmiany. Rachunek musiał trafić do przekonania całego gabinetu, ale czy nie zawiedzie, — o tem zadecyduje przyszłość. Że z pośród Czechów wejdą do nowej Izby jeszcze bardziej radykalni narodowcy, co do tego sam dr. Koerber chyba się nie łudzi. Natomiast z innych krajów, a zwłaszcza z Galicyi, może gabinet spodziewać się istotnie reprezentacyi zmienionej, skłonnej do zaniechania swarów politycznych na rzecz sprawy ekonomicznej i do uruchomienia w tym celu parlamentu.

To też rozwiązanie Izby spotka się w Galicyi z zadowoleniem wszystkich tych żywiołów i stronnictw, które nie godziły się na stanowisko i działalność dotychczasowego Koła polskiego w Wiedniu, a że żywiołom tym otwierają się obecnie widoki zwycięstwa, więc krok dr. Koerbera należy zarazem uważać za votum nieufności dla konserwatywnych przewódców poselskiego klubu polskiego w Radzie państwa, za chęć przesunięcia punktu ciężkości także w Galicyi — na lewo.

W tem oświetleniu rozwiązanie Izby poselskiej nabiera znaczenia zasadniczej zmiany w parlamentarnych i politycznych stosunkach Austryi, zmiany, po której, — gdyby zawiodła oczekiwania rządu, — trudno wyobrazić sobie nową próbę bez poważnych kataklizmów. Za tym radykalnym krokiem — *extrema tanguntur* — widnieje już tylko wstrętne widmo absolutyzmu.



TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Wybory uzupełniające w Galicyi.

Stało się, co było do przewidzenia. Z wyborów uzupełniających w pięciu okręgach miejskich wchodzą do Sejmu polscy posłowie demokratyczni, ale nie godzący się na program połączonej demokracyi, ogłoszony na Zjeździe lwowskim 22. sierpnia. Tych pięciu posłów wraz z dawniejszymi secesyonistami sejmowego klubu demokratycznego tworzą już grupę poważną, która nie będzie należała do unii konserwatywnej, ani też nie wstąpi do zjednoczonych klubów demokratycznych. Tem samem będzie to faktycznie — chociaż dotychczas bez formalnej nazwy — właściwe centrum Sejmu.

W ostatnich czasach podniesiono w jednem z pism katolickich projekt Zjazdu i utworzenia takiego klubu środka. Przeciw temu wystąpiła Nowa Reforma, twierdząc, że tego rodzaju organizacya nie miałaby podstawy bytu; a tymczasem — bez organizacyi — takie centrum właściwie już istnieje i wobec zbyt daleko posuniętych aljansów programu z 22. sierpnia, kto wie,

ażali nie będzie zwiększało się tymi, którzy swe demokratyczne zasady odróżniają bardzo stanowczo od pseudonarodowych tendencyj Naprzodu i od rusofilskiej roboty ks. Stojałowskiego. W każdym razie mamy już posłów, którzy pragną trzymać się środka i z tem liczyć się potrzeba.

Dla obozu konserwatywnego, który wyraża zadowolenie z powodu, iż nie wyszedł z urny żaden z kandydatów skonsolidowanej demokracyi, jest to chyba pociecha niewielka. Z wyjątkiem jedynego hr. Mieczysławaa Pinińskiego, który w Skałacie zwyciężył, jako narodowy kandydat polski przeciw ruskiemu radykałowi, — obóz konserwatywny nie miał nawet odwagi stawić w miastach własnych swych kandydatów. Dowodzi to, że kurye miejskie należą stanowczo do żywiołu demokratycznego.

Rusini — i to radykalni — zdobyli jeden mandat, zadając równocześnie klęskę moskalofilom.

Znamiennym jest również fakt, że w krakowskiej kuryi wielkiej własności przepadł kandydat ultra-konserwatywny, a członek Redakcyi Czasu, hr. Ludwik Dębicki, pokonany przez konserwatystów cokolwiek więcej umiarkowanych.

Szczegółowy wynik wyborów z d. 4. b. m. był następujący:

Żydaczów. Do głosowania jawiło się zaledwie 90 osób. Wybrany został ruski radykał, adwokat ze Stryja, dr. Eugienjusz Oleśnicki.

Jasło-Gorlice. Ogółem w okręgu oddano głosów 617. P. Biechoński w Gorlicach uzyskał wprawdzie ogromną większość, atoli przeważyły głosy z Jasła, gdzie prawie wszyscy głosowali na radcę sądu, Zygmunta Jaworskiego. Wybrany też p. Jaworski 349 głosami przeciw 268, które padły na p. Biechońskiego.

Krosno-Sanok. Wystąpiło tu aż czterech kandydatów, skutkiem czego przy pierwszem głosowaniu przyszło do rozbicia głosów. Na 801 głosujących uzyskali: dr. Jugendfein 346, dr. A. Goldhammer 285, Jan Lipiński 197, dr. Nebenzahl 53. Przy wyborze ściślejszym wybrany został dr. Jan Kanty Jugendfein 476 głosami przeciw 247, które oddano na dra Goldhammera.

Złoczów-Brzeżany. Wybrany dr. Stanisław Schaetzel 596 głosami. Kontr kandydat prof. Józef Baron uzyskał 294 głosów.

Bochnia-Wadowice. Głosowało 784 wyborców. Wybrany burmistrz bocheński, dr. Ferdynand Maiss 573 głosami. Kontr-kandydat, Michał Gołąmb, uzyskał 211 głosów.

Podgórze-Wieliczka. Głosowało 470. Burmistrz podgórski. p. Franciszek Marjewski, uzyskał 461 głosów i wybrany. Dziewięć głosów padło na dra. Danielaka.

Skałat. Przy wyborze uzupełniającym w miejsce śp. Szczęsnego Koziebrodzkiego wybrany hr. Mieczysław Piniński 171 głosami przeciw Rusinowi, dr. Sewer. Daniłowiczowi (18 głosów).

Kraków. Przy wyborze dwóch posłów z krakowskiej posiadłości większej głosowało 186 wyborców (na 307 uprawnionych). Z tego otrzymali: radca Władysław Struszkiewicz 70, a prof. Milewski 59. Ci też zostali wybrani. Hr. Ludwik Dębicki uzyskał 43 głosów.

Socyaliści polscy przeciw rozporządzeniom ministra Studta.

Jak powszechnem jest oburzenie ludności polskiej na rząd pruski z powodu zniesienia polskiej nauki religii w szkołach poznańskich, — świadczy fakt, że nawet socyaliści protestują przeciw temu barbarzyńskiemu rozporządzeniu. W tych dniach odbyli oni w Berlinie liczne zebranie, na którem przyjęto następującą rezolucyę:

„Zebranie protestuje jak najenergiczniej przeciw rozporządzeniu pruskiego ministra oświaty. Rozporządzenie to, zabraniające polskiego wykładu nauki religii i znoszące naukę języka polskiego dla dzieci poznańskich, sprzeciwia się zasadom równouprawnienia, którego Polacy w Prusach mają prawo żądać dla swych dzieci, i jest nowym zamachem na nasz język ojczysty.

„Polscy socyaliści są zdania, że nauka religii w języku ojczystym stanowi pierwszorzędną kwestyę kulturną dla każdego narodu, i ponawiają swoje dawne żądanie: „Dla polskich dzieci polskiej nauki w polskich szkołach!“ W postępowaniu rządu pruskiego widzą polscy socyaliści nowy dowód, że dzisiejsze rządy interesom ludu polskiego nie odpowiadają. W tym duchu wzywają polscy socyaliści lud polski, aby we wszystkich politycznych akcyach pamiętał zawsze o postępowaniu rządu pruskiego i o wszystkich doznanych dotąd krzywdach“.

Równocześnie postanowił zarząd całego niemieckiego stronnictwa socyalno-demokratycznego podjąć kampanię agitacyjną przeciw ministrowi Studtowi. Mają się wszędzie urządzać zebrania, nadto rozszerzaną będzie w ogromnych masach broszura pod tytułem: „Zamach ministra oświaty na język polski“.

Wypadki w Chinach.

Sprawa chińska w nową, a niespodziewaną wstąpiła fazę skutkiem noty rosyjskiego rządu, który zawiadomił mocarstwa, że nie widzi już powodu do zatrzymywania wojsk swych w uspokojonym Pekinie i postanowił zarówno garnizon, jak i poselstwa rosyjskie przenieść do Tientsinu na czas układów o pokój z Lihungczangem. Rosya wyraża nadzieję, że inne mocarstwa uczynią tak samo. Jest to bardzo zręcznie zadany szach zamiarom Niemców i Anglików, a równocześnie fortel, mający na celu zjednanie sobie Chin dla wytargowania u nich ustępstw w Mandżuryi. Krok Rosyi kompromituje misyę hr. Waldersee, który jeszcze przed przybyciem do Chin stał się zbytecznym. Mocarstwa nie dały jeszcze odpowiedzi na notę Rosyi, albowiem wyczekują informacyi od swych posłów w Chinach.

Tymczasem Chińczycy dążą do układów pokojowych, żądając przedewszystkiem, ażeby wojska europejskie opuściły pałac cesarski (w tych dniach zajęty), oraz Pekin i tym sposobem umożliwiły powrót rodzinie cesarskiej. Układy ma prowadzić Lihungczang i ks. Czing. Pierwszy w tym celu udaje się do Pekinu.

Ciekawem jest pytanie, co dzieje się z armią chińską, która naraz znikła z widowni wojny. W ziemię chyba nie zapadła się i kto wie, czy nie wystąpi gdzieś niespodzianie. A były to siły wcale liczne. Wedle wykazu z dnia 10-go lipca wojsko chińskie w prowincyi Czili przedstawiało się wówczas jak następuje:

Głównodowodzący armią północną (Peyang) jen. Yunglu rozporządzał siłą 75,000 żołnierzy regularnych. Zwłaszcza wokolicy samego Pekinu rozbite były obozy, w których przebywało 28,000 żołnierzy, przeważnie konnych mandżurów. Komendantem załogi Pekinu i rzeczonego obozu był wsławiony swą nienawiścią do cudzoziemców tatar, jen. Tungfuhsiang. Jenerał Yuan stał główną kwaterą w Sziaoszanie na południe Tientsinu, dowodząc tutaj korpusem 15,000 ludzi, przez instruktorów niemieckich w swoim czasie wyćwiczonych i stanowiących kwiat regularnej armii chińskiej. Jenerał Nieh (czytaj Nicz) dowodził również korpusem 15-tysięcznym, wykształconym przez oficerów europejskich. Rozłożony on był w piętnastu obozowiskach w okolicy Lutai (na pobrzeżu morskiem). Tenże Nieh posiadał jeszcze korpus dwutysięczny kawaleryi, wykształconej w swoim czasie przez instruktora rosyjskiego, pułk. Woronowa. Jenerał Sung, którego główna kwatera była w Szanhaikwanie, liczył także 15,000 ludzi. Każdy z tych trzech korpusów armii posiadał po 20 bateryj polnych o pięciu działach.

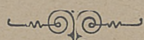
Z wojny transwaalskiej.

Do portów angielskich zawijają co kilka dni okręty z niezwykłym ładunkiem. Wiozą inwalidów z wojny transwaalskiej. Jest pomiędzy nimi stosunkowo niewielu ranionych i kalek na zawsze. Większą znaczną część stanowią wyczerpani chorzy, niezdolni do walki. Wyjeżdżali przed miesiącami do Afryki przy dźwiękach muzyki wojskowej, wśród entuzyastycznych okrzyków patryotycznego tłumu, pełni siły młodzieńczej, trawieni gorączką czynu walki, zwycięstwa; wracają cicho, wyczerpani trudami, wycieńczeni febrą, złamani, smutni, bez ochoty do życia. Wyobrażali sobie wojnę, w której mieli wziąć udział na odległych krańcach świata, jako rodzaj szlachetnego sportu, pole do popisów bohaterskich, za sposobność do zdobycia laurów i zrobienia świetnej karyery. Spotkało ich przykre rozczarowanie.

„Znałem jednego z tych młodych ludzi — pisze korespondent londyński jednego z pism brukselskich. — Jest synem znanego publicysty i rozpoczynał właśnie sam karyerę dziennikarską, kiedy wybuchła wojna. Potępiał ją początkowo, ale niebawem zapalił się do niej, jak wielu innych, i zgłosił się na ochotnika. Pamiętam jeszcze jak się bał, aby go nie odpalono. Zdaje mi się, że byłby rozchorował się ze zmartwienia. Ale przyjęto go. Przybiegł do mnie z radosną nowiną, przybrany już w mundur. Nie posiadał się z radości.

„Przed kilku dniami powrócił z Afryki, jako niezdolny do walki. Odwiedziłem go. Zanim jeszcze zdążyłem go zapytać, jak mu się powodziło, zaczął mi się skarzyć. „Ach! — mówił — ta wojna nowoczesna jest ohydna. Potrzeba wprawdzie jeszcze odwagi, ale odwagi czysto biernej, odwagi wołu, którego prowadzi się na rzeź. Przez sześć miesięcy służyłem pod chorągwią i brałem udział w kilku bitwach. W ciągu tych sześciu miesięcy widziałem zaledwie dwudziestu Burów i to tylko przez szkło. Kazano nam maszerować — i maszerowaliśmy. Od czasu do czasu słyszeliśmy huk. Jeden z nas padał na ziemię, zabity, lub raniony, niekiedy kilku na raz. Nieprzyjaciela nie było widać. Przy prochu bezdymnym nie widać wogóle nic, nawet tych małych kłębów dymu, które dawniej zdradzały miejsce, gdzie znajdował się nieprzyjaciel. Mówią, że potrzeba nam dobrych strzelców. Jestem nim, ale w ciągu

całej wojny ani razu nie mogłem celować. Strzelałem do gór, skał, w powietrze — na chybił trafił. Starałem się zawsze tylko strzelać w tę stronę, z której, jak się zdawało, wychodziły strzały nieprzyjaciół. Nic tak nie denerwuje i nie wyczerpuje, jak ta walka z czemś nieznanem, niewidzialnem, a ziejącem śmiercią. Dodać do tego trzeba niewystarczający sposób odżywiania, brak namiotów do spania, wodę zatrutą przez trupy. Jak w takich warunkach nie zachorować na tyfus? Kiedy zachorowałem, nie pielęgnowano mnie, lecz wrzucono tylko do szpitala, w którym było miejsce na 30 osób, a znajdowało się 300. Nie umarłem, niestety. Uznano mnie za niezdolnego do służby i sądziłem, że rząd poniesie przynajmniej koszta mego powrotu. Gdzież tam. Gdybym nie był miał własnych pieniędzy, to leżałbym tam do dziś dnia!“



Nowoczesny ustrój państwowy.

Państwo nowoczesne t. j. tak zwane państwo prawne (Rechtsstaat) opiera się na zupełnie odmiennych podstawach prawnych, niż państwo stanowe. Ostatnie było wyrazem ustosunkowania się sił społecznych wskutek walk roboczych. Państwo stanowe powstało bowiem przez najazd jednego plemienia na drugie i dlatego miało zawsze charakter poddańczy, plemię podbite wchodziło w bezpośrednią zawisłość od zwycięzców, którzy położenie swe wyzyskiwali zarówno pod względem politycznym, jak i ekonomicznym. Natomiast państwo prawne opiera się na zasadzie bezwzględnej równości wszystkich swych członków wobec prawa.

Z tej zasady równości wobec prawa chcą niektórzy teoretycy a priori wyprowadzić wniosek, że także wszyscy obywatele mają prawo i obowiązek do brania udziału w rządach, a w ślad za tem domagają się powszechnego prawa głosowania do wszystkich ciał reprezentacyjnych. I tak, domagał się Rousseau nietylko bezpośredniego prawa głosowania, ale bezpośredniego udziału w rządach i twierdził, że wszelka ustawa, której sam lud na powszechnem głosowaniu nie uchwalił, jest nieważna. Pomijam stronę teoretyczną, ale wskażę na to, że w zastosowaniu bezpośredni udział ludu w rządach jest niemożliwością już choćby dla ogromu państwa

A i co do reprezentacyi, to równość obywatelska nie uzasadnia niezbicie postulatu powszechnego prawa głosowania. Wszelka bowiem instytucya prawna i społeczna musi wyróść z potrzeby społeczeństwa, a nie może być a priori raz na zawsze przy zielonym stoliku, lub przy biurku uczonego zredagowana. Dlatego to, zdaje mi się, nie można nigdy podawać żadnej formy ustroju państwowego za bezwzględną i po wszystkie czasy odpowiednią. „Wszystko płynie“ — a już najtrudniej ująć w szemat potok zjawisk społecznych.

Postulaty polityki socyalnej muszą mieć kryteryum nie w teoryi, ale w stosunkach i potrzebach faktycznych. Jeżeli państwo stanowe opierało się na zasadzie prawnoprywatnej i było do pewnego stopnia własnością panującego, lub panującej grupy, to państwo nowożytne jest instytucyą o charakterze ściśle publicznym.

Państwo prawne ma tedy szersze zadanie utrzymywania równowagi społecznej i popierania tendencyi rozwojowej całego społeczeństwa, a nietylko pewnej jego grupy.

Rząd więc państwa nowożytnego musi reprezentować interesy wszystkich grup społecznych. Możliwe jest to tylko wtedy jeżeli władza ustawodawcza jest w rękach narodu, względnie jego reprezentantów. Postulat reprezentacyi ludu nie natrafia już teraz na żadne poważne zarzuty. Sporną jest tylko kwestya, jak ta reprezentacya ma wyglądać, jak mają się ugrupować siły reprezentacyjne, żeby najlepiej odpowiadały potrzebom społeczeństwa i najdokładniej pokrywały z interesami pojedynczych kół i grup.

I tu można odróżnić dwie naczelne formy reprezentacyi, tj. reprezentację interesów powszechnych i reprezentację interesów specyalnych. Pierwsza oddaje władzę w ręce pewnej ilości reprezentantów narodu w ogólności; reprezentanci ci nie są rzecznikami tej, lub owej grupy socyalnej, ale mają na oku dobro całego państwa; w ciałach reprezentacyjnych tego rodzaju nie ma tedy tej sprzeczności interesów, jaka panuje pośród samego narodu, bo członkowie ich stają ponad grupami na stanowisku ogólnopaństwowem. Tę formę reprezentuje instytucya powszechnego prawa wyborczego i instytucya prawa wyborczego cenzurowego. Powszechne prawo wyborcze daje każdemu dojrzałemu obywatelowi (rok dojrzałości politycznej jest ustawą oznaczony, np. 24 lat życia) prawo wyboru reprezentantów do wszystkich ciał wybieralnych, tudzież prawo wybieralności za dopełnieniem pewnych dla każdego obywatela przystępnych warunków. Każdy więc obywatel, ukończywszy np. lat 24, ma czynne prawo wyboru, bierne zaś ma dopiero po ukończeniu lat 30 i np. po odbyciu normalnych szkół i wykazaniu moralnego zachowania się.

Prawo wyborcze cenzurowe przywiązuje zdolność polityczną obywatela do pewnych warunków, nie każdemu obywatelowi przystępnych, np. do opłacania podatków w pewnej wysokości, odbycia faktycznego służby wojskowej, ponoszenia pewnych ciężarów obywatelskich w bezpłatnym urzędzie, wykazania się ukończonemi studyami wyższemi i t. d. Otóż wedle tej formy prawo wyboru i wybieralności mają tylko ci, którzy owym szczególnym wymaganiom ustawy zadość czynią — inni natomiast tej zdolności politycznej nie posiadają.

Może być także kombinacya obu tych form — jakiej przykład mamy w naszych kuryach. Jest to tak zwany system majoryzacyjny, który polega na tem, że im wyższy census, tem większy procent reprezentantów wypada na pewną grupę. Otóż, jest, przypuśćmy, powszechne prawo głosowania w V. kuryi i dostarcza — jak w Austryi — 72 posłów na 5·3 miliona wyborców, czyli 1 posła na 74076 wyborców — gdy tymczasem w kuryi wielkiej własności na 5042 wyborców wypadło w r. 1891 wybranych 85. — A więc ta garstka uprzywilejowanych ma więcej reprezentantów, niż kilka milionów niecenzurowanych obywateli.

Odmianą systemu powszechnego głosowania jest także system pluryalny, który pozwala na podstawie pewnych kwalifikacyj kumulować jednej osobie kilka głosów wyborczych. I ta odmiana jest ograniczeniem, a nie poprawieniem powszechnego głosowania, bo daje klasom uprzywilejowanym stałą przewagę nad nieuprzywilejowanemi.

Otóż, jak powiedziałem, wszystkie dotychczas omówione formy reprezentacyi mają na celu zastąpienie interesów powszechnych w ciałach reprezentacyjnych. Dlatego kryteryum podziału na okręgi wyborcze stanowi podział geograficzny państwa ze zachowaniem jakiej takiej równomierności w przeznaczaniu jednego posła na pewną ilość wyborców.

Zupełnie odmienny jest teoretyczny punkt wyjścia dla reprezentacyi interesów specyalnych. Nie chodzi tu o to, by każdy zastępca ludu był rzecznikiem sprawy publicznej — i to ogólno-państwowej, ale o to, by reprezentował interesy tej grupy, która go delegowała. I tu można odróżnić dwie formy: reprezentację interesów historycznych i reprezentację interesów idealnych.

Rozwój historyczny społeczeństwa dokonał w jego łonie podziału na stany, które dziedzicznie zajmują więcej, lub mniej uprzywilejowane stanowisko. I tak np. wyrobił się podział na stan wysokiej szlachty, mieszczaństwa, włościaństwa. Stany te mają historycznie wyrobione i przekazane sobie pewne interesy, których bronią i bez których byt ich jest niemożliwy. I te interesy grup historycznie wydzielonych są pomiędzy sobą sprzeczne. Tak np., interes szlachty wobec włościaństwa, interes mieszczan wobec właścicieli większych i mniejszych gospodarstw rolnych. Otóż, przy reprezentacyi interesów historycznych nie wystarcza podział geograficzny na okręgi wyborcze, ale każdy ze stanów musi mieć swoję reprezentacyę. Dlatego ustanawia się podział wyborców na klasy odpowiadające grupom o wspólnych interesach historycznych, np. na kurye i te kurye dyslokuje się dopiero geograficznie na części kraju. Przy tym podziale na klasy pokrywają się najczęściej okręgi wyborcze różnych kuryj tak, że na przestrzeni pewnego okręgu geograficznego każda grupa stanowa wybiera sobie osobnego reprezentanta. I tu znowu może mieć zastosowanie system majoryzacyi, jeżeli pewien stan, jako całość wzięty, ma bezwzględnie większą ilość reprezentantów, a zwłaszcza jeżeli stan obywateli mniej liczny ma przewagę głosów nad liczniejszym stanem.

Reprezentacya interesów idealnych polega na tem, że dzieli się wyborców nie wedle historycznej wspólności interesów, lecz wedle różnic żywotnych pomiędzy grupami społecznemi. Więc już nie podział na stany, ale podział na klasy społeczne, na warstwy, na zawody, na kierunki życia. Tu uwzględnia się naturalne grupy o interesie wspólnym i każdej takiej grupie wyznacza się pewna ilość reprezentantów. I tak, mogą być okręgi dla rolników, przemysłowców, rękodzielników, kupców, „inteligentów“, robotników i t. d., bo każdy z tych podziałów dopuszcza dalszej dyferencyi.

I w tem tkwi właśnie najsłabsza strona systemu reprezentacyi interesów idealnych, że nie można dociec, jak daleko wolno i trzeba dopuścić zróżniczkowanie społeczeństwa na grupy interesowane, a nadto, jaki ma być stosunek sił reprezentacyjnych pojedynczych grup. Bo gdzież jest kryteryum, czy ta grupa ma mieć 5 czy 10 reprezentantów?

Reprezentacya interesów stanowych jest w obecnym czasie anachronizmem. Wobec zniesienia przywilejów stanowych i uznania powszechnej równości obywateli wobec prawa, wspólność i różnice interesów historycznych w istocie się zatarły i pozostały różnice interesów socyalnych — szczególnie ekonomicznych, tak że nie mieszczaństwo szlachcie się przeciwstawia, ale przemysł rolnictwu — i nie szlachta włościaństwu się przeciwstawia, ale obszarnik drobnemu rolnikowi i t. d. Austrya jest jedynem większem państwem, które ma system reprezentacyi interesów stanowych z domieszką momentów cenzurowych.

To, co teoretycy podają na uzasadnienie reprezentacyi interesów specyalnych absolutnie nie wytrzymuje krytyki. Chodzi niby o to, by w ciele reprezentacyjnem zawierał się niejako mikrokosmos społeczeństwa, żeby w reprezentacyi ścierały się te same prądy, co i w samem społeczeństwie. Ależ dobrze! Tylko niechaj także ugrupowanie sił reprezentacyjnych będzie analogiczne do ugrupowania sił reprezentowanych grup społecznych! A tej analogii żadna ordynacya wyborcza raz na zawsze ustanowić nie może i dlatego reprezentacya interesów specyalnych nigdy nie może trwale zaspokajać istotnych potrzeb społeczeństwa.

Natomiast reprezentacya interesów powszechnych o wiele łatwiej akomoduje się do faktycznego ustosunkowania się sił wyborczych. Chodzi o to, żeby żadna grupa interesów nie majoryzowała innych. Otóż to osięga podział ściśle geograficzny i liczebny mieszkańców na okręgi wyborcze. W obrębie każdego bowiem ścierają się siły pojedynczych grup interesowych i z tej walki wychodzi jeden reprezentant dla wszystkich. Otóż, on nie będzie rzecznikiem tej, lub owej grupy, ale całego swojego okręgu. W ten sposób torem na naturalnym grupują się siły reprezentacyjne analogicznie do sił reprezentowanych.

Dopuszczenie cenzusu jest odmianą niekorzystną, bo psuje naturalną równowagę sił reprezentacyjnych. Zwolennicy systemu cenzurowego twierdzą, że kto większe ponosi ciężary na rzecz państwa, ten większe mieć musi prawa polityczne. Ależ to byłaby frymarka obowiązkami i prawami obywatelskiemi! Lecz pomijam to. Obywatele, wyżej cenzurowani, nie ponoszą większych ciężarów, niż niżej cenzurowani. Cały ciężar służby wojskowej i podatku pośredniego spoczywa na warstwie niecenzurowanej, a wobec tego ciężaru znikająco małym jest ciężar podatków bezpośrednich.

Nadto nie daje cenzura żadnej miary wyrobienia i dojrzałości politycznej. Prawda, że wykształcenie wyższe przystępne jest tylko klasom wyżej cenzurowanym, ale wykształcenie to nie stanowi wcale o wyrobieniu i dojrzałości politycznej.

Myśl powszechnego bezpośredniego prawa wyborczego jest tylko konsekwencyą pojęcia państwa prawnego. Z chwilą, kiedy państwo przestało reprezentować interesy pewnej grupy przeciw interesom innych grup — z chwilą, kiedy doskonały wszechstronny rozwój społeczeństwa i powszechne polepszenie bytu jego stało się zadaniem państwa, z tą chwilą reprezentacya musi stanąć na stanowisku potrzeb ogólno-państwowych. I ta forma reprezentacyi będzie w państwie prawnem najodpowiedniejsza, która poprze wysyłanie do parlamentu rzeczników interesów ogólnych, rzeczników społecznej i ekonomicznej równowagi i która da gwarancyę, że ustosunkowanie się sił reprezentacyjnych analogiczne będzie do ustosunkowania się sił społecznych w narodzie.



Telegraf między Europą a Azyą.

Codziennie czytamy sprawozdania o zapasach niebieskiego państwa z Japonią, Ameryką i całym zastępem mocarstw Europy, co dzień dążą raporta do stolic państw sprzymierzonych, które, usunąwszy chwilowo na bok wszelkie domowe zawiści, waśni, nieprzyjaźni, starają się łącznemi siłami wstrząsać czterystu-milionowym kolosem. Przy tego rodzaju światowych zdarzeniach odczuwamy dopiero prawdziwie potęgę skromnej iskry elektrycznej, dzięki której mieniają w ciągu kilku godzin swe myśli rozdzieleni mnogiemi tysiącami mil potentaci, dzięki której otrzymują w lot dyspozycye jenerałowie na placu boju, ambasadorowie, rozsiani po całym globie, admirałowie i dowódcy flot i okrętów, szybujących po dalekich oceanach.

Pierwsze telegraficzne połączenie Azyi z Europą związane jest z nazwiskiem Siemensa. Wilhelm Siemens bowiem, twórca słynnej londyńskiej firmy, który założył z czternastu, przebiegających dziś północną połowę Atlantyku, kablów, siedm tego rodzaju podmorskich przewodów, brał żywy udział w urządzeniu angielsko-indyjskiej linii telegraficznej, przeprowadzonej przez rząd angielski r. 1862. Linia ta biegła w związku z rozmaitemi odnogami telegraficznemi Europy nasamprzód lądem przez Małą Azyę i Persyę, następnie od Busziru w Persyi podmorskim przewodem do Kurrachee, zachodniej przystani Indyj. Pierwszy ten przewód telegraficzny nie odpowiedział atoli należycie zadaniu, a i dziś jeszcze mało jest używanym do korespondencyi między Anglią a Indyami.

Śmiały plan wybudowania linii do Indyj odnowił Werner Siemens w r. 1869 przy pomocy trzech swoich firm w Berlinie, Londynie i Petersburgu. Jestto tak zwana indo-europejska linia, dążąca przez Emden-Berlin-Warszawę-Odessę-Tyflis-Teheran do Busziru, dalej zaś podwodnym kablem.

Linia ta stoi w związku, za pośrednictwem lądowej sieci telegraficznej Indyj z Birmą i z francuskiemi Indo-Chinami, a za ich pośrednictwem znów z państwem niebieskiem.

Telegram z Londynu, lub Berlina do Pekinu mógłby przeto dążyć prawie wyłącznie przewodem lądowym, lecz tylko w teoryi, linia ta bowiem podlega na Wschodzie ustawicznym przerwom, a wobec częstego przetelegrafowywania nie doszłaby żadna depesza do celu bez spóźnienia i gorszych jeszcze błędów w tekscie. Wobec tego musiano dać preferencyę podmorskim połączeniom.

W ośm lat po założeniu pierwszego użytecznego kablu podmorskiego między Dower a Calais przystąpiono do prób połączenia Europy z Azyą. W r. 1859 założyło angielskie Towarzystwo, dysponujące kapitałem 20 milionów koron, kabel w morzu Czerwonem i Arabskiem do Kurrachee, przystani najważniejszej angielskiej kolonii Indyj. Przedsiębiorstwo atoli zawiodło; przewód fungował, podobnie jak i położony równocześnie kabel między Europą a Ameryką, zaledwie dni kilka.

W siedm lat później (1866) udało się gorliwym zabiegom Cyrusa Fielda stworzyć stałą telegraficzną komunikacyę przez ocean Atlantycki, a równocześnie powstało siedm angielskich Towarzystw, z których pracowały cztery nad projektem podwodnego połączenia tej strony, trzy zaś tamtej strony Indyj.

Pierwsze cztery Towarzystwa złączyły się r. 1872 w „Eastern-Telegraph-Company“, ostatnie trzy przekształciły się w rok później w „Eastern-Extension, Australasia and China-Telegraph Company“. Oba Towarzystwa zostają w najściślejszym z sobą związku, mają w Londynie wspólne biura i wspólnego prezydenta. Dysponując kapitałem 240 milionów koron nominalnej a 360—400 milionów koron kursowej wartości, należą one do najbardziej wpływowych przedsiębiorstw świata. Własnych kabli posiadają 82.776 km., kontrolują zaś kabli łącznej długości niespełna 150.000 km., a więc prawie połowę całej podwodnej sieci globu, obliczonej w r. 1872 na 310.000 km., z których blisko 37.000 km. jest własnością państwowych zakładów telegraficznych. Powyższe Towarzystwa opanowały cały ruch południowej i wschodniej Azyi, Antwerpii i Afryki, a częściowo i południowej Ameryki. Główna linia Towarzystwa „Eastern Telegraph-Company“ dąży z Anglii do Gibraltaru, stąd za pośrednictwem potrójnego kablu przez Maltę do Aleksandryi. Z Malty i Aleksandryi rozgałęzia się sieć do tego stopnia, iż, z wyjątkiem krótkich francuskich linij, do Algieru i Tunisu, obejmuje cały ruch Śródziemnego morza. Pomiędzy Suezem a Aden ma ona cztery, pomiędzy Aden a Bombayem trzy kable. Do głównej arteryi, łączącej Anglię z Indyami, wpadają siecie kablów licznego pocztu Towarzystw, zawisłych mniej lub więcej od „Eastern Telegraph-Company“, lub różniących się tylko firmą. Właściwemi ich gniazdami są Aden i Lizbona.

(Ciąg dalszy nastąpi).





WNĘTRZE GŁÓWNEGO KOŚCIOŁA W CZĘSTOCHOWIE.

MARYAN GOYSKI.



Marya Rodziewiczówna.

SYLWETKA.

Pani Lucynie H. z Kielc.



Usławiła ją nagroda konkursowa „Dewajtisa“. Odtąd cieszy się wcale znaczną poczytnością i sympatyą, zwłaszcza w sferach przeciętnej inteligencyi. Czy ta popularność i poczytność, ta sympatya, jaką sobie zjednała, jest słuszną? Czy nie jest przecenioną i niema w niej nic, prócz zaspokojenia niezbyt wygórowanego smaku artystycznego i potrzeb naszej publiczności? Zdaje mi się, że tak i nie. Spróbujmy to wytłumaczyć, a tem samem wyjaśnić rodzaj jej talentu.

Nie potrzeba znać całej spuścizny powieściowej Rodziewiczównej, wystarczy przeczytać dwie, trzy uważnie; nie potrzeba być fachowym znawcą, ani posiadać zbyt subtelnego zmysłu krytycznego, aby dostrzec, że Rodziewiczówna ma tylko jeden ideał, zna tylko jeden naprawdę charakter ludzki, a raczej jeden umie malować.

Wszyscy jej bohaterowie, czy bohaterki, to więcej, niż bracia rodzeni, to są poprostu bliźnięta, wyszłe z jednego wspólnego pnia, z jednego źródła, a tym pniem, tem źródłem był umysł autorki. O różnych nazwiskach, na różnych miejscach, wśród różnych okoliczności i stosunków życiowych, w innych warunkach, oni wszyscy nie znają się, ale gdyby się zeszli, każdy poznałby odrazu samego siebie.

Bohaterowie Rodziewiczównej, to nie ludzie, tak jak są, to nie jednostki rzeczywiste, prawdziwe, ale ideały wcielone. Oni siebie, swoich potrzeb nie znają, wiedzą tylko o powierzonym obowiązku i w imię tego obowiązku pracują i walczą, z zapomnieniem i poświęceniem wszystkiego, co człowiek ma i mieć musi, z narażeniem własnego imienia, honoru, zdrowia, życia nawet. Bohaterowie Rodziewiczównej, to dusze tytaniczne, prometejskie, o więcej, niż żelaznej woli, to jakieś duchowe olbrzymy, które nie dadzą się zwalczyć, ani złamać, ani skusić żadną korzyścią, ani pokonać żadną klęską, żadnem nieszczęściem. Walczą bez przerwy, bez wytchnienia, a walczą nie dla siebie, nie dla spodziewanej nagrody, bo tą gardzą, ale dla obowiązku, którego pojęcie jest u nich bardzo wysokie, ale i bardzo szlachetne. Zrywają stosunki ze swoją rodziną, z najbliższymi, jeżeli ci są w niezgodzie z ich wygórowanemi i zacnemi zasadami. Swoje uczucia, swoje pragnienia wprawdzie znają, o ich istnieniu wiedzą, ale je przesuwają na ostatni szczebel, a gdy zbyt silne, gdy zbyt częste, walczą z niemi, jak z wrogiem, w tem przekonaniu, że powierzona im praca, obowiązek, ucierpią na tem, a to niewolno; swoją krzywdę, swoją klęskę przyjmą spokojnie, obojętnie, o zadosyćuczynieniu ani myślą; ale krzywdę poruczonej sprawy, szkodę oddanego im majątku mszczą strasznie, zapamiętale, srogo.

Bohaterowie Rodziewiczównej, to wcielenie idealne poczucia obowiązku. Hart duszy, żelazna wola, zupełna niedbałość o swoje Ja, o swoje potrzeby, robi ich bardzo podobnymi do pierwszych męczenników chrześciańskich. A także Skrzetuski, wcielenie obowiązku politycznego, patryotycznego może im podać rękę. Męczennicy chrześciańscy w pazurach tygrysów, hyen, na słupach smołą oblanych, nie myśleli o swoich fizycznych cierpieniach, ale drżeli, by ich współwyznawcy nie zaparli się prawdziwego Boga; ci w chorobie boją się, by nieprzyjaciele nie skorzystali z ich mimowolnej bezczynności, nie zdeptali całej ich pracy, nie udaremnili zabiegów, a tem samem nie podali w podejrzenie, że zamało troszczyli się o powierzoną sprawę.

Bohaterowie Rodziewiczównej, to znakomity materyał do dramatu. Całe ich życie, to prawdziwy dramat, pełen okropnych, często niemożliwych sytuacyj. Życie tych bohaterów, ich uczucia, ich charakter, ich cała istota podobne do siebie, jak dwie krople wody. Pochodzą z ubogiej, szlacheckiej rodziny, wskutek okoliczności zrywają z familią, przynajmniej na pewien czas, narażając się przez to na nowe intrygi, żyją samotnie, często w niedostatku. Mają panią swego serca, ale o niej nie myślą, uważając się za zbyt małych i niegodnych, nadto z obawy, by folga uczuciu nie stała się nowym wrogiem. Pokora, zaparcie się siebie, egzaltacya i tytaniczność woli — oto ich rysy.

Taki jest ideał Rodziewiczównej, ideał bardzo szlachetny, bardzo wysoki, ale na dzisiejsze stosunki utopijny. To pozwala wnosić, że autorka jest idealistką.

Ale skąd tego rodzaju ideał i dlaczego taki, a nie inny? Pytanie bardzo ciekawe i ważne, ale też bardzo trudne do rozwiązania, zwłaszcza na podstawie samej tylko literackiej znajomości Rodziewiczównej. Trzeba dobrze znać usposobienie i koleje życia autorki, aby umieć jasno przeciąć ten problemat. Tego mi brak, więc się nawet o to nie kuszę. Zdaje mi się jednak, że jest to sekret umysłu i duszy autorki, że do pewnego stopnia jestto indywidualny wytwór wyobraźni, a przecież każdy prawie człowiek ma i powinien mieć jakiś ideał odpowiedni ustrojowi swego ducha, który kocha, o którym myśli, który pragnąłby zrealizować. Otóż Rodziewiczówna ma taki, a dlaczego taki, na to ona jedna mogłaby dać odpowiedź, a może i ona sama nie zna dobrze genezy swego ideału, może on w jej wyobraźni wytworzył się niezupełnie świadomie.

A teraz dalej. Czy i jakie zwłaszcza wpływy zewnętrzne działały na rozwinięcie takiego ideału, to znowu pytanie ważne i ciekawe, łatwiejsze przytem do prawdopodobnego rozwiązania, niż poprzednie.

Można przypuścić z pewną słusznością, ale tylko przypuścić, że stosunki życiowe mogły tu pewną rolę odegrać, ale o ile i czy rzeczywiście tak było, przysięgać nie można, nie znając ich zupełnie. Że jej otoczenie, wychowanie, studya, wkońcu koleje życia coś mogły zaważyć, to bardzo prawdopodobne. Z większą pewnością, że się od prawdy nie oddalamy, że domysł nasz jest prawie pewnikiem, jest sąd nasz o wpływie polskiej poezyi romantycznej, a zwłaszcza Mickiewicza.

Mickiewicz, jako poeta, jest poetą poświęcenia. Wszyscy jego bohaterowie, począwszy od ballad, skończywszy na „Panu Tadeuszu“, nie robią nic innego, tylko się poświęcają dla różnych pobudek, w różny sposób, w rozmaitym celu, w rozmaitych warunkach i zakresie (choć wszyscy mają na myśli ojczyznę), ale wszyscy robią to samo. U Rodziewiczównej podobnież, a wykazaliśmy wyżej. Zakres jej cnoty, pojęcie jej, w naturalnym wyniku środki i drogi są bez porównania niższe. Naturalnie, bo Rodziewiczówna nie jest Mickiewiczem, ona do tych wyżyn nie sięgnęła, bo ani może chciała, ani umiała. Bohaterowie jej, to nie wyraz społeczeństwa polskiego i ojczyzny, oni nawet nie mają wiele rysów swojskich, narodowych, nawet nie wyrażają społeczeństwa i wieku swojego i tylko słabą cząstką do niego należą; to jednostki zupełnie prawie odeń oderwane, abstrakcyjne, a więc i ich poświęcenie, ich walka w imię obowiązku ma charakter jednostkowy, subjektywny, ściśle indywidualny. Jakkolwiekbądź, mimo tej różnicy w zakresie, w środkach i t. d. cnota heroizmu jest faktem, zasada, pojęcie jej jest to samo — a to właśnie wskazuje na zależność od romantyzmu polskiego.

Że właśnie ten rodzaj poezyi tak pozytywnie na nią wpłynął, że ją tak porwał i zachwycił, to łatwo da się wytłumaczyć czasem, w jakim się kształciła. Była to chwila, gdzie jeszcze gdzieniegdzie odzywały się jej tony (Romanowski, Berwiński, Zieliński, Ujejski itd.), gdzie wielcy poeci byli dla nas relikwią, gdzie nowe, dzisiejsze stosunki, prądy, dopiero poczynały się, ale nie skrystalizowały, nie uświadomiły siebie samych, nie zrzuciły powijaków dzieciństwa, gdzie nakoniec klęska styczniowa sparaliżowała na chwilę naród, a lekarstwem były właśnie dzieła Mickiewicza i romantyków.

Nie należałoby jeszcze pominąć, że bohaterowie Rodziewiczównej noszą na sobie pewien ślad bajronizmu zewnętrznego, czyli formalnego. A że bajronizm z romantyzmem jest dość ściśle złączony, tego chyba wykazywać nie trzeba, zwłaszcza wobec dzieła prof. Zdziechowskiego.

Idźmy dalej. Takie założenie, tj. taki typ bohatera pociąga za sobą silny pier-

wiastek dramatycznej powieści. I tak jest w istocie. Powieści Rodziewiczównej są dramatyczne i bardzo; mają w wysokim stopniu to, co jest istotą dramatycznej poezyi, tj. walkę bohatera z trudnościami zewnętrznemi, lub wewnętrznemi, a to w imię jakiejś idei. Ten dramatyzm, to pierwsza cecha powieści.

Pierwiastek dramatyczny w powieści nie zdaje mi się być istotnym warunkiem jej istoty, nie jest absolutną, bezwzględną koniecznością. Jest tylko okrasą, ma za zadanie, zająć umysł czytelnika, pobudzić do uwagi, uprzyjemnić lekturę. Jest potrzebny, nieraz i bardzo, ale niekonieczny. Często jest narzędziem pierwszorzędnej wagi do wyjaśnienia wzajemnych stosunków między osobami powieści, sytuacyi, charakterów, ale tylko narzędziem, nigdy celem. Jest w tej mierze podobny do monologów w dramacie. Te także wyjaśniają, lub ułatwiają zrozumienie intrygi, ale od prawdy realnej odbiegają, bo nikt ze sobą o zdrowych zmysłach głośno nie rozmawia. Oba są dodatkami o tyle koniecznemi, że inaczej nie można ich zastąpić; dla czytelnika, lub słuchacza bardzo pożądanemi, ale dodatkami.

(Dokończenie nastąpi.)

Stanisław Bobelak.

GAŁĄZKA JAŚMINU.

WSPOMNIENIE.

(Ciąg dalszy).



Dziesięć miesięcy upłynęło od naszego wyjazdu. Jesteśmy na uroczystości otwarcia — owego ósmego cudu świata — wiszącego mostu między Nowym Yorkiem a Brooklynem. Antonio zdolnością, pracowitością i taktem ujął sobie wszystkich na okręcie i rzecz niebywała w austryackiej marynarce, po dziewięciomiesięcznej służbie został zamianowany podoficerem. Łatwo sobie wyobrazić radość jego na wiadomość, że w dalszym ciągu podróży naszej mamy zwiedzić Nowy Orlean, gdzie będzie mógł ustnie oznajmić ojcu Dolores radosną nowinę, że został... dziadkiem.

Lecz widocznie nie danem mu było oglądać raz jeszcze ojczyznę swej żony. Na parę dni przed wyjazdem do Nowego Orleanu otrzymaliśmy z ministerstwa wojny telegraficznie rozkaz, wzywający nas do bezzwłocznego powrotu do Austryi, a to z powodu wybuchłych rozruchów w południowej Dalmacyi i nieporozumień na półwyspie bałkańskim. Antonio, który z początku zmartwił się tą wieścią, pocieszył się wkrótce tem, że za miesiąc najdalej będzie mógł przycisnąć do siebie żonę i synka.

Naładowawszy z pośpiechem węgle i zapasy żywności, udaliśmy się niezwłocznie z powrotem do Europy. Nie zatrzymując się nigdzie po drodze, minęliśmy szczęśliwie cieśninę Gibraltarską, a znalazłszy się na morzu Śródziemnem, skierowaliśmy się ku Sycylii. Sprzyjająca nam dotychczas pogoda stawała się coraz to mniej pewną, aż wreszcie minąwszy wyspy Balearskie, zostaliśmy zaskoczeni jedną z tych burz, które tak smutną sławę przynoszą zatoce lyońskiej.

Wzmagający się z każdą chwilą wicher, porwał nietylko górne, ale i część dolnych żagli, a z wielkim trudem zdołaliśmy uratować resztę, zwijając je. Dla umożliwienia sterowania okrętem pozostawiono tylko zmniejszone przednie żagle t. z. *vormarsegel* i *sturmklüver*. Tymczasem orkan stawał się co chwila gwałtowniejszym, a nie natrafiając, prócz powyższych żagli, na żaden opór, rzucał okrętem na wszystkie strony, tak, że wierzchołki rej*) dotykały wody. Niebo i morze zdawały się tworzyć jednę masę. Okręt, trzeszcząc we wszystkich fugach, stawał się igraszką wichru i fal, niekiedy zanurzał się zupełnie w wodzie, to znów wybiegał na szczyt bałwanów, zdawało się, że lada chwila pogrąży się z nami w śmiertelnej otchłani. Bałwany morskie, przewalając się przez pokład, zmiatały wszystko, co nie było silnie przytwierdzone, a utrzymanie się na pokładzie było trudnem nawet dla starych marynarzy, pomimo poprzeciąganych lin t. z. *„sturmtaue“*.

Dwa dni szalała ta burza, a nikt z załogi nie myślał o wypoczynku, bo i gdzież go szukać? Przemokli do nitki, głodni i zziębnięci, zdaliśmy się na łaskę Opatrzności.

Drugiego dnia nad wieczorem, kiedy orkan dosięgnął punktu kulminacyjnego, a bałwany co chwila zalewały pokład, oficer służbowy wydał rozkaz, aby silniej umocować przytwierdzoną do boku okrętu łódź, której skutkiem wstrząśnień groziło oderwanie od okrętu. Antonio, którego rozkaz ten bezpośrednio nie dotyczył, lecz, jak zawsze, pierwszy tam, gdzie chodziło o trudniejszą czynność, znalazł się w jednej chwili w łodzi, lecz zanim drudzy zdążyć mogli, olbrzymia fala, uderzając w okręt, przechyliła go raptownie na bok, zalewając równocześnie pokład. Kiedy nareszcie wynurzył się z wody, ujrzeliśmy z przerażeniem brak łodzi i części oszańcowania pokładu: — zmiotła je woda...

Z przerażenia tego wyrwał nas najstraszniejszy dla marynarzy okrzyk: *„Mann über Bord!“* Na okrzyk ten oprzytomnieliśmy, a wrzuciwszy do morza gurty, pierścienie korkowe itp. przyrządy ratunkowe, kilku z nas skoczyło natychmiast do drugiej łodzi, chcąc spieszyć na ratunek nieszczęśliwemu, który co raz to bardziej oddalał się od okrętu. Lecz zanim zdołaliśmy przystąpić do spuszczenia łodzi, usłyszeliśmy donośny głos komendanta:

— Stójcie, szaleńcy! Czyż nie widzicie, że idziecie na nieochybną śmierć? Jego nie uratujecie, a sami zginiecie. Dla ratowania jednego nie wolno mi narażać życia kilkunastu — rozkazuję wam wyjść natychmiast z łodzi, bo oto zbliża się ponownie fala.“

Uznawszy słuszność słów komendanta, zeskoczyliśmy na pokład, skąd przez pół godziny jeszcze widzieliśmy Antonia, trzymającego się przewróconej łodzi. Kilka razy zdawało nam się, pomimo szalonego wichru, słyszeć głos jego, wołający o pomoc... Była to najokropniejsza chwila w mem życiu; widzieć tak blisko przyjaciela, pasującego się ze śmiercią, a nie móc mu pomóc...

Zgromadziwszy się na rozkaz komendanta na tylnej części okrętu, zdjęliśmy czapki, powtarzając za nim — o ile to, wśród przeraźliwego świstu, wichru i gwałtownych wstrząśnień, było możliwe — modlitwę do Wszechmocnego, by się zlitował nad nieszczęśliwym i przyjął go do swej chwały. Ostatnie słowa modlitwy przerwały głośne łkania z piersi naszych. Nawet komendant, który chciał siłą mocy zapanować nad sobą, a który nie raz jeden zaglądał śmierci w oczy i którego nie wzruszyły jęki konających w bitwach pod Lissą i Helgolandem, nie mógł się oprzeć wzruszeniu i grube łzy spłynęły mu po twarzy...

— — — — — — — — — —

Lecz wzruszenie jego nie trwało długo, odpowiedzialność za życie załogi przemogła żal za nieszczęśliwym, a otarłszy łzy, począł wydawać rozkazy dla zabezpieczenia okrętu. I jak gdyby orkan pragnął tylko ofiary ludzkiej, od tej chwili począł wicher słabnąć, a morze uspokajać się......

W trzy dni później przybyliśmy do Palermo. Zaledwie zarzuciliśmy kotwicę, udałem się natychmiast na ląd, celem wysłania depeszy telegraficznej. Opiewała ona lakonicznie: „Soeben angekommen. Ein Unterofficier ertrunken bei Ballearen. Sonst Alles wohl.“

Tak jest — Alles wohl...

(Ciąg dalszy nastąpi).

*) Reje są to poprzeczne drągi na masztach, do których umocowane są żagle.



STANISŁAW BARĄCZ.

Zbłąkany ptak.

Zbłąkany ptak wciąż w siną dal
Za stadem dąży, błądząc w mgłach,
Gna go tęsknota, niesie żal,
Już wiatr mu skrzydła stargał w łach.

A tak weń bije ostry szron;
Już na samotny spada step,
Z rozpaczą czując bliski skon,
Wpił oczy w szary nieba sklep.

Z wichurą siecze zimny deszcz,
A w sercu ptaka zimny ból.
Już nim konania wstrząsa dreszcz,
Wśród głuchej pustki martwych pól

Już mu ostatki mdleją sił,
Z znużenia każda drga w nim kość;
Tak ciągnie ziemia w mokry ił,
Bezwładna go ogarnia mdłość.

Ogarnął go przedśmiertny sen
I rozwarł przed nim marzeń raj,
Porywających pełny scen:
W śnie południowy widzi kraj —

...W ciemnych lazurach kołyszą swe szczyty,
Wysmukłe palmy, drzewa rozłożyste,
U stóp ich fale jeziora srebrzyste,
Pieszczą się w słońcu i piją błękity.

Widzi swe stado — jego towarzysze
W cieniu palm śpiewne prowadzą zaloty,
Śliczne ich gniazda, tak czułe pieszczoty,
A wonny wietrzyk palmami kołysze.

Widzi — jak lecą na uroczy wzgórek,
Gdzie rój motyli tęczami migoce,
Gromadka w słońcu grzeje się jaszczurek,
Gdzie cudne kwiaty i złote owoce,
Lecą — aż niebo srebrzy się od piórek;
Wtem ukochany głos nań zaświergocze.
Ach, to najmilsza mu w życiu ptaszyna,
Najdroższa sercu kochanka jedyna
Leci ku niemu, tak mu serce skacze...

Już się z nim wita i tak się z nim pieści,
Słodkim szczebiotem radość swoję wieści,
Grucha radośnie, z radości aż płacze;
Wiedzie go z sobą, w ciepłem gniazdku tuli —
Tak się trzepoce, przymila i czuli;
Wielkie czerwone znosi mu jagody...
Wtem znika nagle, gdzieś pod niebem tonie —
Rzewną tęsknotę uczuł ptak i w łonie
Złowrogich przeczuć przebiegły mu chłody
Miał sen tak przykry, smutne w śnie przygody.
Poleci za nią — już otrząsa piórka.
Wtem oczy srebrna przysłania mu chmurka,
Ciemnieje nagle, w szarą mgłę się zmienia.
Tu z przerażeniem ocknął się z marzenia...
Znów step ogromny ujrzał ptak —
I ściął mu serce zimny mróz.
Wzrok mrący utkwił w mglisty szlak.
Ostatni marzeń zniknł mu gruz,
Żałośnie jęknął w nieba sklep,
I jak zerwany wichrem kwiat,
Padł na milczący, pusty step
I grób ma wielki z mgieł — jak świat.



Henryk Lichtenberger,
prof. uniw. w Nancy.

FRYDERYK NIETZSCHE.

(Za zezwoleniem autora przetłumaczył Bertold Menkes).

Punktem wyjścia myśli nietzscheańskich jest metafizyka Schopenhauera. Zgodnie za tym filozofem uważa wolę za istotę świata.

Wola ta znajduje potwierdzenie u wszystkich istot; jest ona wiecznem, bolesnem dążeniem, niewygasłem pożądaniem, kształtującem życie ludzkie, jako wieczną walkę, toczoną mimo pewności przegranej. Świat jest więc złym. Rozum, biorąc życie, jako sumę zdarzeń, poznaje, że byt zawiera w sobie więcej bolu, niż radości, że wskutek tego człowiek musi się wyrzec szczęścia. Bo tylko bezwzględne zaprzeczenie woli może zakończyć ból, może przerwać bolesny sen, w który popada ludzkość, opętana zasadą indywiduacyi. W tem miejscu Nietzsche oddala się od poglądów swego mistrza: absolutny pesymizm, nihilizm filozoficzny jest zdaniem jego praktycznie niemożliwy.

Jeśli świat ze stanowiska rozumu jest złym, a widok prawdy człowieka skłania do zaprzeczenia, unicestwienia swej osobowości, to z tego faktu można wywieść również i odwrotny wniosek: jeśli prawda jest złą, należy przenieść nad nią illuzyę i stworzyć szereg tak pięknych i rozkosznych illuzyj, iż nadadzą życiu, mimo jego nieomijalnych bolów, znowu nowe wartości; cały więc rozsądek i całą energię należy zużyć na wytworzenie tych życiodajnych illuzyj.

Dwie są mianowicie illuzye, mogące usprawiedliwić byt ziemski: a p p o l l i ń s k a i d y o n i z y j s k a — jak je Nietzsche nazywa.

Można świat pojąć, jako metafizyczne dzieło sztuki, którego widok przejmuje widza nieskończoną rozkoszą; można więc świat pojmować estetycznie i snuć senne marzenie o Pięknie, które nam radość sprawia.

Jest to illuzya apollińska. Omotany nią człowiek prawi życiu: „Pragnę ciebie, bo twój obraz jest pięknym; godneś, bym o tobie śnił“. Z drugiej jednak strony jest człowiek nietylko stworzeniem krótko żyjącem i opętanem zasadą indywiduacyi, ale także częścią wiecznej i niezmierzonej woli, częścią „pra-jedyności“, a wskutek tego także istotą wieczną i niezniszczalną. W stanie ekstazy i upojenia człowiek uświadamia sobie tę identyczność ze wszelakiemi stworzeniami i całą przyrodą. Jest to dyonizyjska illuzya, pod wpływem której człowiek na widok bolu, zniszczenia i śmierci nie popada w melancholię, ale pokonuje pesymizm, poznając wieczność woli i prawi wskutek tego życiu: „Pragnę ciebie, boś ty życiem wiecznem“.

Te dwie illuzye stanowią „mądrość tragiczną“, do której się kiedyś wznieśli Grecy; tragedya grecka jest jej wiekuistym pomnikiem. Z początku, w epoce Homera, pokonali Grecy pesymizm za pomocą illuzyi appollińskiej, tworząc świetlaną wizyę bogów olimpijskich i wznosząc się na skrzydłach tej wizyi poza posępność życia. Potem poznali szał dyonizyjski. Chóry satyrów, z których następnie powstała tragedya grecka, składały się z ludzi, upojonych myślą jedności z wszechświatem. Tragedya jest więc wyrazem ducha dyonizyjskiego.

Natchnienie to nie pozostaje jednak ciągle w tym samym stanie, nie wyraża się za pomocą słów, tj. symbolów uczucia, ale wyładowuje się, jako wizya apollińska, jako obraz plastyczny, świadczący o stanie duszy, w którym się znajdował poeta Ze swej istoty jest więc tragedya grecka dyonizyjską, co do formy zaś apollińską, bo w namacalnych kształtach wprowadza na scenę mity o bogach i bohaterach, których powołuje do nowego życia i tchnie w nich uczuciowość i mądrość tragiczną.

Ta też „mądrość tragiczna“, będąca cechą Greków w epoce rozkwitu helleńskiej kultury, powinna być również ideałem współczesnym, dziś pozostajemy jednakowoż w znaku „naukowego optymizmu“. Z wielką naiwnością uważa się świat zarówno, jako całość, jak i w częściach składowych za rzecz, dającą się zbadać i na podstawie nauk przyrodniczych dąży się do zorganizowania życia indywidualnego i socyalnego: ludzie wmawiają sobie, że w naukach znajdą popędy, potrzebne im do życia, a wskutek rozwielmożnienia się tego błędnego zdania, powstała pseudo-kultura w całej Europie, a zwłaszcza w Niemczech, której śmiesznym przedstawicielem jest „inteligentny filister“ ów syty, optymistyczny burżoa, wierzący, że nauki sprowadzą taki porządek rzeczy, który zabezpieczy możliwie



OSTATNI GLADYATOROWIE.

największej ilości największe możliwe szczęście. Pilny badacz spostrzeże jednak widoczne znaki wzrostu w inną stronę. Otóż, wskrzesza Ryszard Wagner w swym dramacie muzycznym, polegającym na syntezie muzyki i poezyi, starą tragedyę grecką. Otóż, Szopenhauer gruntownie skompromitował naukowy optymizm swoim bystrym i niemiłosiernie przejrzystym pesymizmem i pouczył nas zaglądać w zęby rzeczywistości. Drogą, wytyczoną przez tych dwóch geniuszów, musimy kroczyć naprzód. „Człowiek, wyższy“ musi być pesymistą; nie da się zwieść mamidłami; wie on dobrze, że przyroda jest potęgą straszną, często zgubną, że historya jest brutalną, a człowiek skazanym na cierpienie. Pesymizm jednakowoż nie skłoni go do rezygnacyi i tęsknoty za śmiercią, ale przeciwnie: do heroizmu; nie będzie za dobre poczytywał tego, co zmniejsza na świecie sumę bolu, ale to, co życiu nadaje więcej sił żywotnych, wartości życiowych i piękna; nie będzie poczytywał za swe zadanie nadbiegania z pomocą biednemu, ale wywyższenie człowieka niezwykłego, geniusza z tłumu miernot. Bo wytworzenie geniusza jest najwyższem zadaniem ludzkości: byt ludzki ma dopiero przez to jakiś sens. A kiedy wytworzenie geniusza, stworzenie nowej kultury, daje się tylko okupić cierpieniem, to wolnomyślny człowiek powinien się na tyle zdobyć odwagi, aby cierpieć i innym pozwolić cierpieć, służąc w ten sposób postępowi udzkości.

IV.

Około roku 1876 dokonał się stanowczy zwrot zarówno w wewnętrznem, jak i zewnętrznem życiu Nietzschego. Doszedł mianowicie do przeświadczenia; gmach swych poglądów oparł o fundamenta, których siłę i wytrzymałość niedość wybadał Wagner i Szopenhauer, których powitał, jako wychowawców przyszłej ludzkości; zmaleli nieco, oglądani trzeźwiejszem okiem. Poczytywał ich za towarzyszy broni w wyprawie krzyżowej przeciw naukowemu optymizmowi, tymczasem cała jego uwaga zogniskowała się w innem zagadnieniu: w problemacie d e k a d e n c y i. Na świecie błąkają się nietylko pretensyonalni uczeni i syci filistrzy, ale również praktyczni pesymiści, posępne rzesze zniechęconych, którzy dość mają życia i cierpienia i wskutek tego tęsknią za śmiercią, za nicością. Pesymizm jest znakomitym antydotem przeciw kwietyzmowi filistra, który wszystko na świecie mieni dobrem; jest jednak także i symptomatem upadku, a kto się doń przyznaje, zaznacza temsamem, iż brak mu energii życiowej, iż chciałby przez śmierć otrząść z siebie brzemię życia. Pesymizm więc stanowi najradykalniejsze zaprzeczenie instynktu Nietzschego, owej namiętnej miłości ku życiu, stanowiącej podstawę jego filozofii. Szopenhauer, opierający swą teoryę moralności na uczuciu litości, uważający nirwanę za najważniejszy cel ludzkości i Wagner, stawiający wyrzeczenie się, jako podstawę swej nauki i występujący w Parsifalu, jako głosiciel neochrześcijańskiego mistycyzmu — są dekadentami i krzewicielami europejskiego upadku. W roku 1876., podczas wystawiania oper Wagnerowskich w Bayreuth, uświadomił sobie Nietzsche, iż instynkt jego uczynił go głuchym na prawdziwe tendencye sztuki Wagnera. Nie chcąc więc wyrzec się swej miłości prawdy, musiał poddać bezwzględnej krytyce cały świat swych pojęć, sądów i przekonań i oddzielić raz na zawsze to, co miał zachować, od tego, co miał usunąć.

Również i pod innym względem doszedł Nietzsche do przeświadczenia, iż bezkrytycznie uwielbiając pewne osoby, lub przedmioty, paczy swe wewnętrzne życie i wprost zagraża swemu zewnętrznemu bytowi. Uczuł, iż misyą jego prawdziwą jest dojście do zupełnego zanalizowania swej istoty i wyrażenia swej filozofii z jaknajwiększą siłą. A przecież był ponadto filologiem i profesorem z zawodu, a ze swego zadania wywiązywał się z wielką, wrodzoną mu sumiennością. Czuł, iż uniwersytet w Bazylei nie jest właściwem miejscem jego pobytu. Na egzemplarzu „Esquisse d'un Morale sans Obligation in Sanction“ Guyau'a podkreślił zdanie: „Wyobraźcie sobie artystę, który usłyszał wołanie geniusza i na całe życie skazany jest na pracę rąk. Prześladować go będzie uczucie zatraconego bytu, niespełnionego zadania, nieurzeczywistnionego ideału i zacięży na jego ustroju nerwowym tak, jak świadomość porażki moralnej“.

A na brzegu dopisał Nietzsche: „To był mój los w Bazylei“. Kiedy uległ wezwaniu do Bazylei, sądził, iż zawód profesorski zgadza się z jego skłonnościami i życzeniami. Teraz doszedł do przekonania, iż wplątał się w sieć obowiązków i względów, przeszkadzających mu tylko w dopięciu wyższego celu. Musiał się więc zdobyć na odwagę podobnie, jak to uczynił niegdyś ze swymi wychowawcami Szopenhauerem i Wagnerem, wyzwolić się również z tych zewnętrznych, nawet nieco polubionych pęt. Ustąpił z uniwersytetu, zrzekł się karyery i praktycznego zawodu życiowego, a począł żyć tylko dla swej idei.

Bolesna ta konieczność wydała mu się coraz bardziej wyższym, szczytniejszym obowiązkiem względem siebie samego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

TOEDOR MIANOWSKI.

NOKTURN.

Kwitnąca, srebrna noc: Słońce dogasło u szczytu,
Złotem płonące wzgórza ogarnął zachwyt cichy;
W dali skrzą się dróg mlecznych brylantowe morza —
Gwiazdy toną w głąb błękitu,
Odurzające wonie rzucają w przestworza
Kwiatów półsenne kielichy.

Powietrze ciepłe, wonne: liście szemrzą zcicha
W srebrze i złocie: ekstazą świat cały oddycha;
Księżyc wypłynął w lazurze —
Na srebrem oblanej górze
Stanął, spojrzał w przepaści, zadrżał.. i popłynął.

Zielone stawy posnęły wśród krzewów w ogrodzie,
Łabędzie marzą na wodzie, jak ciche, bieluchne łodzie,
Trzepotem płosząc wód zaklętych sny —
A wonne krople rosy z szaty Boga białej
W płonące kwiatów amfory padały,
Jak srebrne aniołów łzy...

Z „oktaw“.

Słońce w morzu się pali,
Lśnią się nagich skał czoła,
Dalej — wyspy korali —
Mrok i pustka dokoła,
Górą w złotych tchnień fali
Brzmi śpiew cudny Anioła,
Co skrzydłami się śnieżąc w błękitach,
Sieje ciszę po morzu, skał szczytach.

Ogrom świata półsenny
Zwolna w mroki zachodzi,
Okrąg słońca płomienny
Gaśnie w iskier powodzi.
Duch mój w bolów żar plenny
Mrokiem ognie swe chłodzi
I dobywa z swych głębi — przez złote
Blaski ciszy zasianą — tęsknotę.



Edmund Kolbuszowski.

Z wierzeń ludowych.

I. GWIAZDY i GRZYBY.

SZKIC ETNOLOGICZNY.

Żlicznych badaczy na polu ludoznawstwa żaden nie zwrócił dotąd pilniejszej uwagi na podania, mające związek z astronomią, lub grzyboznawstwem ludowem, a przecież w podaniach tych cenne i nader ważne są materyały do studyów porównawczych nad kulturą ludów.

Z poetów, Mickiewicz umieścił w „Panu Tadeuszu" kilka szczegółów z dziedziny astronomii, zabarwionych lekko ludowemi tradycyami o gwiazdach — w ustępie zaś przy grzybobraniu, nadmienia w odsyłaczu o pieśniach, krążących między ludem o wojnie, na którą wychodzą grzyby. R. Zmorski, w poemacie „Wieża Siedmiu Wodzów" w gwiazdach błyszczących widzi hełmy bohaterów — i formą wiersza zbliża się do ludowych utworów, lecz pod względem duchowym nic wspólnego z niemi nie ma, bo treść poematu jest wyjątkiem sagi skandynawskiej. Józef Grajnert, w rozprawce swojej „Gwieździsty strop nieba" — umieszczonej w jednem z peryodycznych pism warszawskich r. 1867, lub 1868, poruszył ze strony filozoficzno-moralnej gwiazdoznawstwo ludowe, zostawiając najracyonalniejsze kwestye tego kultu, bo początki jego, poza obrębem swoich rozumowań. Zresztą ani K. W. Wójcicki w swoich „Klechdach etc." — ani też Gołębiowski [1]), ks. L. A. Jucewicz [2]) — A. Nowosielski [3]) (Marcinkowski) — J. Radwański [4]) etc. nie podali żadnych z tego działu szczegółów. Nawet głośni badacze początków Słowiańszczyzny J. Lelewel, W. A. Maciejowski, K. Jarochowski, nie rozejrzeli się we wskazanym kierunku — a co dziwniejsza, że i w materyałach do etnografii, gromadzonych przez O. Kolberga, prawie nie ma wzmianki o podobnych podaniach.

Lecz pominąwszy ich wartość naukową, cenne są one, jako czynniki, ułatwiające gruntowniejsze poznanie charakteru tej miljonowej masy, której nadać ruch ku wyżynom oświaty, jest zadaniem czasów obecnych.

Śmiało twierdzić można, że dotychczas dokładnie nie poznaliśmy ludu wiejskiego, tembardziej, że nie zwracamy uwagi na pewną dwulicowość jego charakteru, która nigdzie tak jaskrawo nie występuje, jak w pojęciach wiary i wierzeń ludu, na polu religii i zabobonu. Tu na przemiany okazuje się chrześcianinem prawowiernym, lub poganinem najupartszym i zdumiewa tem etnologa.

Z głową, podniesioną wierząco ku gwiazdom, chłop odczytuje ze sklepu niebieskiego głębokie dowody istności Boga, odnajduje w gwiazdach pamiątki przyjścia i męki Zbawiciela, głosi legendy o Świętych Pańskich, zbiera wzniosłe prawdy i nauki moralne — lecz nachyliwszy się w gęstwinę boru nad pniakami drzew ściętych i wygrzebując z mchów i porostów swoje bedki i huby [5]), chrześcianin ten przybiera nagle postać obcą: staje się istotą nawskróś pogańską i — mimo wiedzy — nawet kapłanem wierzeń przed erą Krzyża leżących.

Tysiące lat przeszło, pełnych zmian najrozmaitszej natury i przeobrażeń przekonań ludzkich, a teraźniejszość przez lud wiejski mimo to tysiącem węzłów pozostała złączoną ze szarem przedporaniem epoki zbawienia. Z ludowych obrządków, zwyczajów i obyczajów, z guseł i klechd, z bajek i podań rozchodzą się jeszcze zdumiewające dźwięki i odgłosy, które świadczą o wielkiej sile nastroju prastarych wyobrażeń i niespożytej słabości ducha, w którego wnętrzu znalazły schronisko.

Najwyraźniej i najjaśniej od niezliczonych okruchów przedawnionego życia, mrokiem pogaństwa omglonego, odrysowuje się cykl podaniowy o gwiazdach. Legendy te są złotem ziarnem chrześciańskiego siewcy z pierwszych wieków ery pochrystusowej.

Niezgodne trochę z biblijnemi wiadomościami o stworzeniu świata (bo ulegały różnym modyfikacyom w ustach ludu), nie przeczą jednak powadze pisma świętego.

Według tych podań: niebo za czasów żydowskich [6]) zupełnie było ciemne. Gwiazdy dopiero się nalewały — ale nie świeciły ziemi, tylko nad rajem i tyle o nich wiedziano, co przez sen.

Jeżeli Bóg chciał prowadzić ludzi po swej woli, natedy zapalał im ognie na obłokach. Tak było za Żydów, że nawet dusze zmarłych leciały przez ciemności do góry i tam się błąkały.

Do ludzi, umierających w łasce, przychodził anioł z pochodnią, aby ich dusze przeprowadzić przez noce. Z ziemi widziano wtedy ognie okrągłe, jak koła i rozumiano, że to wozy ogniste, a na nich dusze odjeżdżające przez bramę niebieską. „Ta szczo ludy znały persze na świti!", dodał z lekceważeniem opowiadający, stary pasiecznik.

Dzisiaj powszechnie wiadomo, że gwiazdy to są liczby i znaki, uczynione przez Boga Ojca przy obliczaniu ludzi na ziemi. Obrachunek ten zrobiono przed samem narodzeniem Zbawiciela, aby wiedział, ile dusz odkupi. Skoro człowiek się rodzi, zaraz taki jeden znak przybywa; dla każdego bowiem świeci jakaś gwiazda.

Gwiazdy rachować, to grzech i niebezpiecznie. Można bowiem przy tej rachubie natknąć na swoję gwiazdkę, a wtedy nagłą śmiercią skończyć.—Jestto w formie mistycznej wypowiedziana przestroga, aby naprózno czasu nie marnować – twierdzi J. Grajnert [7]).

Gwiazda Chrystusowa poczęła świecić od dnia Zwiastowania, ale ludziom nie była widoczną Gdy Zbawiciel na świat przyszedł, wytoczyli ją aniołowie na niebo. Że była jaśniejszą od innych znacznie, przeto dostrzegli ją pastuszkowie i Św. Trzej Królowie — i poszli pokłonić się dzieciątku Jezus.

Ze śmiercią cnotliwego człowieka, gwiazda jego bynajmniej nie gaśnie — ani też spada. Dusza, lecąca do wieczności, zabiera ją sobie, a gdy godna tego: przystraja nią Chwałę Boską.

Droga mleczna, to gościniec, do nieba prowadzący. I Zbawiciel szedł nim, wstępując w niebo — i Matkę Boską aniołowie wiedli tym gościńcem; zresztą każda dusza wstępuje na niego, gdy z chmur zejdzie. Trzeba jednak wielkiej przezorności do tej pośmiertnej podróży, bo droga rozdziela się w dwa kierunki, z tych jeden wiedzie w „zatracenie". Aby tą drogą jechał Lucyper do walki z Bogiem, o tem ani lud polski, ani ruski nic nie wie. Może być, że pomiędzy ludem na Litwie utrzymuje się to podanie, przytoczone przez Mickiewicza w astronomii Wojskiego.

Komety, czyli gwiazdy z grzywą, rózgą, miotłą, lub warkoczem ognistym, uważa gmin zawsze za przepowiednie wojen, ciężkiego głodu, lub pomoru. Gdy się jednak ludzie ukorzą i szczerze błagają Boga, natedy odwraca się nieszczęście.

Na księżycu wieśniacy widzą dwóch braci. W niektórych okolicach dodają, że to jest Kain i Abel — gdzieindziej skazka mówi tylko o dwóch braciach, którzy sobie wydzierają palicę (w Złoczowskiem), albo widły (w Gródeckiem). W bocheńskim powiecie lud zamiast Kaina i Abla, mieści na księżycu czarownika Twardowskiego. Szatan musiał go tam porzucić, chociaż do piekła miał być porwany, Twardowski bowiem począł śpiewać godzinki, a śpiewaniem tem osłabił moc złego ducha. Na księżycu Twardowski pokutować będzie do sądnego dnia.

Gwiazdy niecnotliwych ludzi ciemnieją i kopcą. Nad niemi Św. Wawrzyniec męczennik płacze — a ma tę łaskę od Pana Jezusa, iż łzami swemi może przyćmione znaki (tj. gwiazdy) rozjaśnić. Gdy więc łza św. Wawrzyńca upadnie na gwiazdę, tedy ona się czyści — a dusza ludzka będzie zbawioną. Gorzej jednak z gwiazdami, które pociemniały do szczętu. Nad niemi Święty łez nie wyleje, ale się odwraca; więc spadają one do "bani Piotrowej" — która jest szklaną, a w niej się palą „roztopione żary". Nie jest to piekło, bo do niego duszę porywają tylko czarci. Gdyby wszystkie gwiazdy poczerniały i wpadły do tej — bliżej nieokreślonej bani, wrącej ogniami (ta bania oznacza zapewne kulę niebieską i słońce?) natedy byłby koniec świata. Ziemia zostałaby wciągniętą do przepaści, ale tego nie dopuści Bóg Duch Święty, który wiąże dusze do gwiazd jasnych; one ludzi i ziemię ciągną w górę. Legenda o łzach Św. Wawrzyńca jest rozpowszechnioną ogólnie pomiędzy ludem ruskim i polskim. Nawet na Bukowinie, w okolicy Wamy i Kimpolungu (Dołhopole) powtarzają ją Rumuni i koloniści Niemcy; po-

[1]) Lud polski i jego zwyczaje. Warszawa 1830.
[2]) Wspomnienia Żmudzi etc. Wilno 1842.
[3]) Lud ukraiński Wilno 1857.
[4]) Rzecz o mitologii słowiańskiej—Kraków 1862.

[5]) Ogólna nazwa grzybów; — bedki u polskiego, huby u ruskiego ludu.

[6]) Lud wiejski uważa Żydów za najpierwszych na świecie. Od nich pochodzą dopiero wszyscy inni poganie, a nawet Niemcy; tylko ci ostatni są chrzczeni Żydzi.

[7]) Gwieździsty strop nieba — Warszawa.

daną im została zapewne przez lud ruski, zamieszkujący wsi sąsiednie.

Odmienny nieco waryant powieści o łzach świętych słyszałem w Nowo-Sądeczyźnie. Różnica tyczy się jednak tylko imienia. Zamiast św. Wawrzyńca, stawiają tam Św. Piotra. On rzewnemi łzami płacze i płakać będzie po koniec świata z żalu, że się był zaparł Zbawiciela.

Oprócz gwiazd, uważanych za znaki liczbowe i oprócz łez świętych, występują w astronomii ludowej także i inne ciała niebieskie. W astronomicznej konstelacyi Oriona, w samym pasie, jednym szeregiem błyszczące trzy gwiazdy pierwszej wielkości, to według ludu, są Kosarze św. Izydora. Obok nich trzy stopniowo zmniejszające się gwiazdki, to Nosiacze, bo przynoszą pożywienie pierwszym. Odnosząca się do tych konfiguracyj legenda wspomina o czasach, kiedy na ziemi zapanował pomór taki, że omal cała ziemia nie wyludniła się. Było to po wojnie. Na niej wyginęła moc ludu — i w domu ludzie marli, jak muchy. Dziatwie mniej to szkodziło, tylko starym. Sadyby liczne i wsi samieszkiwała już prawie tylko dziatwa drobna, a rzadko było o kobietę starszą, któraby się zaopiekować chciała niemi. Wkońcu przepadała już i gadzina [8]) bo nie było komu zająć się sprzętem i gromadzić paszę na zimę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

[8]) Gadzina oznacza tu wszelki inwentarz żywy w gospodarstwie: konie, krowy, woły, owce, trzodę chlewną, nawet psy i koty.



Dr. K. Ostaszewski-Barański.

Jasna-Góra.

Klęska, jaka dotknęła klasztor jasno-górski, wywołała w publicystyce naszej, tyle wzmianek i wspomnień historycznych że wyczerpano już wszystko, co w tym kierunku powiedziećby się dało. Wystarczy przypomnieć, że klasztor zawdzięcza swe powstanie Władysławowi Opolskiemu, że zarówno w ostatnim Piaście, jak Jagiellonach i Wazach, miał gorliwych czcicieli i opiekunów, że w czasie najazdu szwedzkiego był twierdzą narodowego ducha i odrodzenia. Ta zresztą doba jego dziejów znaną jest doskonale dzięki Kraszewskiemu i Sienkiewiczowi, którego opis „obrony Częstochowy“ pozostanie jednym z najpiękniejszych klejnotów naszej literatury. Wszyscy też następni nasi królowie, a przedewszystkiem król Jan III., otaczali klasztor i kościół najgłębszą czcią — a nawet car Aleksander I. bawił sam dni kilka i ofiarował znaczniejszą sumę na odbudowanie fortecznych murów.

Odnośne szczegóły i daty znajdą się zresztą w każdym podręczniku; — w tej chwili nie o historyę wizyt królewskich, nie o ich bogate dary i nie wojny, ale chodzi nam o to, co jest treścią istotną Jasnejgóry, o jej wpływ na lud. Kto chce poznać klasztor w całym jego blasku, powinien odwiedzić go w czasie jednego z licznych odpustów, które przypadają głównie na czas między Wielką Nocą a dniem Wszystkich Świętych.

Niewszystkie wieki i lata są pod tym względem jednakie. Za Jagiellonów aż do Zygmunta Augusta, był złoty wiek odpustowy dla Jasnej Góry: jak piszą kronikarze, prócz ludności krajowej, spieszyły tu liczne zastępy Czechów, Morawców, Ślązaków, Węgrów, a nawet Mołdawian. Reformacya i trzydziestoletnia wojna wpłynęły ujemnie na ten ruch obcokrajowców, a choć ich i później, aż po dzisiejszy dzień, nie brakło, były to jednak tylko nieliczne gromadki, lub jednostki.

I w ostatnich czasach klęski krajowe i narodowe wpływały chwilowo na zmniejszenie ilości pobożnych pątników, ale trwało to zawsze krótko i zbolały naród znów gromadną rzeszą spieszył ze skargą do stóp Maryi i znajdował pociechę i siłę!...

Od wiosny do późnej jesieni roi się więc Częstochowa od pobożnych, ale najliczniesze ich zastępy gromadzą się w dniu 8 września, tj. Wniebowzięcia Panny Maryi, który też jest rocznicą koronacyi cudownego obrazu.

Uroczystości rozpoczynają się już dnia poprzedniego. Częstochowa w tym dniu niezwykły przedstawia widok; od rana do nocy ściągają się kompanie pobożnych, rozlegają się pieśni i hymny kościelne, szelescą chorągwie, brzęczą, dzwonki...

„Kompaniami“ nazywają się gromady ludu, jednoczącego się dla odbycia pobożnej pielgrzymki; towarzyszą jej nieraz wozy, wiozące chorych, rzeczy, zapasy żywności. Większym kompaniom przewodniczy zazwyczaj kapłan, mniejszym organiści, lub który z poważniejszych gospodarzy wsi, lub parafii. Tych kompanij przybywa najwięcej z Małopolski, najludniejsze jednak mazurskie, a zwłaszcza warszawskie, łowickie i gostyńskie. Niebrak także gromad po 100 i wyżej osób ze Śląska i Morawy. Wszystko to rozkłada się taborem w najbliższem otoczeniu klasztoru, spędza tu całą dobę, modli się nieustannie i śpiewa pobożne hymny w narzeczach prawie wszystkich zachodniej Słowiańszczyzny. Kurpie, Ślązacy, Kaszubi, Mazury, Wielkopolanie, Kujawiacy, Krakowiacy, Górale od Tatr i Beskidu, Podlasianie, Rusini kojarzą się pod sklepieniem tej samej świątyni, modlą się do wspólnej Matki, a po nabożeństwie, opuściwszy kościół, rozmawiają każdy o swoich stronach, ziemi, kłopotach i przekonywują się, że jeżeli u nich źle, nie lepiej i gdzieindziej, bo „bieda wszędzie ta sama i złość ludzka jednaka“!

Wieczorem tego dnia w całej Częstochowie ruch i gwar: kto żyje, biegnie na Jasną Górę, by cieszyć się muzyką, ogniami sztucznemi i illuminacyą. Ognie nieszczególne i powinne być zakazane, muzyka często bardzo dobra, — a illuminacya piękna: wśród cieni nocnych wysoka, rzęsisto oświetlona wieża przedstawiała wspaniały widok.

Nazajutrz t. j. 8 września z trudnością już tylko dostać się można do szczelnie zapełnionego kościoła.

Niewypowiedziane jakieś uczucie nabożeństwa, pokory, smutku a zarazem i radości przejmuje duszę: choćby nie wiem, jak silne zdania mniemanego rozsądku przemawiały do twej głowy. czujesz sercem, że wiara jest potrzebą ludzi, a modlitwa rozmową z Bogiem, że w niej jest prawdziwa pociecha, że ona sama przez się rozkoszą!...

Poważne brzmienie organów, śpiew kapłanów, jęk, płacz, modły korzących się w prochu tłumów, historyczne wspomnienia tak święte i świetne, wszystko to wywołuje jakieś nieopisane uczucie, w którem się miesza ból z radością, żal z ufnością, przygnębienie z nadzieją.

Po skończonem nabożeństwie kompanie, zaopatrzywszy się w dewocyonalja zaczynają się rozchodzić: zajmujący widok tego pożegnania! Każdy raz jeszcze wraca, aby rzucić okiem na mury klasztoru, aby ucałować świętą ziemię, lub zaczerpnąć wody w oddalonym kościółku św. Barbary. Znowu płacz, znów jęki odchodzących, znowu pieśń, pełna rzewnej pobożności na cześć Maryi.

Nie! ta pobożność naszego ludu nie leży tylko w formach, jak chcą niektórzy utrzymywać — ona pochodzi z serca!

A patrząc na to, krzepimy się na duchu potęgą tej arki naszej w czasie potopu i powtarzamy natchnione słowa Sienkiewicza:

„Ten klasztor wieki wieków stać będzie“.

TEATR.

Ostatnie przedstawienie w starym teatrze hr. Skarbka odbędzie się w niedzielę, 9-go bm. Po przedstawieniu raut w Kole literacko-artystycznem.

P. Pawlikowski przybył już do Lwowa i czyni przygotowania do pierwszych przedstawień. Pod kierunkiem kapelmistrza p. Czelansky'ego rozpoczęły się próby z opery Żeleńskiego „Janek" przy wzmocnionych chórach (50 osób) i orkiestrze. W niedzielę rozpocznie próby dramat, a to z prologu J. Kasprowicza, zatytułowanego: „Baśń nocy świętojańskiej". Prolog, napisany wierszem, wprowadza postaci ze sztuk greckich i szekspirowskich na tle fantastycznego krajobrazu górskiego, a kończy się kantatą. Do prologu wymalowano specyalną dekoracyę. Dzień pierwszego przedstawienia jeszcze nieoznaczony.

TYDZIEŃ EKONOMICZNY.

Międzynarodowy kongres rolników. W obecnej dobie powszechnego przesilenia rolniczego, międzynarodowy kongres rolników, który z okazyi wystawy powszechnej obradował w Paryżu, miał znaczenie poważnego zgromadzenia, którego członkowie myśleli o realnej pracy, a nie o towarzyskich przyjemnościach. Na kilka dni przed kongresem paryskim odbył się w Wersalu jakby przygotowawczy wiec, również międzynarodowy, który zastanawiał się wyłącznie nad organizacyą handlu zbożem. Znany publicysta agrarny, prezydent sądu Paysant, przewodniczył obradom, podczas których wszyscy mowcy zgodzili się na konieczność utworzenia w przyszłości spółek kooperacyjnych lokalnych, departamentalnych, prowincyonalnych i wreszcie centralnych, celem prowadzenia handlu zbożem i usunięcia tak zwanego handlu pośredniczącego Delegat niemiecki, dr. Roesike, podał nawet zarys światowego kartelu zbożowego na wzór kartelów przemysłowych, zastrzegając się tylko już naprzód, że podobny kartel nie ma cechy agresywnej wobec spożywców. Tak samo zapewniają przedstawiciele kartelów przemysłowych, co nie przeszkadza wcale, że konsumenci padają ich ofiarą. Zresztą, jeżeli agraryusze niemieccy wzywali swój rząd, ażeby wystąpił przeciwko kartelowi producentów sztucznego nawozu, to wystąpienie dra Roesikego ma cechę zasadniczej sprzeczności. Usuwając na bok pomysł dra Roesikego, przyznać należy, że ukrócenie handlu pośredniczącego wyjść musi na korzyść tak producentów, jakoteż i konsumentów.

Na kongresie rolników w Paryżu deputowany Méline zaznaczył, że hasłem rolników musi być: industralizacya rolnictwa. Wszystkie te czynniki, które w XIX. wieku przyczyniły zię do podniesienia przemysłu, przedewszystkiem dobrze zorganizowany, tani i wygodny kredyt, należy wyzyskać na korzyść rolnictwa. Jeżeli przesilenie rolnicze przybiera coraz ostrzejsze formy, jeżeli zbliża się niebezpieczeństwo, że ceny zboża mogą spaść poniżej kosztów produkcyi, to głównym powodem tego stanu jest – zdaniem Méline'a — brak zorganizowanej sprzedaży. Drugiem hasłem rolników powinna być: emancypacya z pod handlu pośredniczącego. Zanim zboże przejdzie z pierwszej do ostatniej ręki, różnica w cenie jest rzeczywiście olbrzymia i rolnicy słusznie pragną, ażeby ta dyferencya wpłynęła do ich kieszeni. My tylko dodamy: z potrąceniem godziwego procentu na korzyść konsumentów.

W ciągu obrad kongresu podniosły się nadzwyczaj energiczne głosy przeciwko terminowemu handlowi zbożem. Rozprawy kongresu w Paryżu nad tym przedmiotem — jak słusznie zauważa „Nowa Reforma" — mają dla nas aktualne znaczenie ze względu na ankietę, która w przyszłym miesiącu ma w Wiedniu obradować nad tą samą kwestyą. Jeżeli zasobny rolnik francuski nie może ostać się wobec handlu terminowego giełd zbożowych, to cóż dopiero powiedzieć o rolnikach galicyjskich. Delegaci naszych Towarzystw rolniczych i namiestnictwa galicyjskiego powinni energicznie stanąć w obronie interesów rolnictwa. Kongres w Paryżu na wniosek Méline'a uchwalił rezolucyę, żądającą ustawowego zreformowania giełd zbożowych, uznania „interesów na grę" za sądownie niezaskarżalne i karno sądowej odpowiedzialności za uwodzenie do gry giełdowej. W sprawie handlu terminowego, podczas ostatniej sesyi francuskiej Izby deputowanych, minister handlu Millerand miał sposobność zaznaczyć stanowisko rządu. Otóż Millerand oświadczył się wówczas przeciwko zupełnemu zniesieniu tego handlu, zarazem atoli zapewnił Izbę, że przez to wcale nie przesądza sprawy jego reformy.

Wystawa sadownicza we Lwowie. Tow. zawodowych ogrodników we Lwowie, po porozumieniu się z Tow. ogrodniczem w Tarnowie powzięło ostateczne uchwały co do urządzić się mającej wystawy sadowniczej we Lwowie. — Wystawa ta odbędzie się w dniach 4, 5, 6, 7, 8. października br. i w obec tego przedłuża się termin zgłoszeń do dnia 15 go września.

Porozumienie to nastąpiło w tym celu, aby Tow. ogrodnicze z Tarnowa mogło owoce ze swej wystawy przysłać do Lwowa jako zbiór owoców, zebranych w danym powiecie.

Jakkolwiek do tego czasu wpłynęło już kilkadziesiąt zgłoszeń na wzięcie udziału w wystawie, to Tow. udaje się tą drogą do ludzi dobrej woli, którym zależy na podniesieniu, tej tak bardzo ważnej, — a umiejętnie poprowadzonej — produktywnej gałęzi gospodarstwa krajowego, o jak najliczniejsze obesłanie wystawy i targu owocowego tak samym, jak i zachęcanie do tego w gronie swych znajomych. Tylko bowiem przez nadesłanie jak największego materyału, może Tow. sprostać zadaniu, by wprowadzić sadownictwo na właściwe tory.

Dlatego uprasza o rychłe nadesłanie dokładnie wypełnionych kwestyonaryuszów i wykazów owoców, które na każde zażądanie odwrotną pocztą wyseła, aby mogło przygotować materyał na obrady w czasie wystawy.

Cena korków została przez kartel, po odbytem zgromadzeniu w Pradze, podwyższoną o 20%, a to z powodu podrożenia surowego materyału, droższych cen węgla i coraz rosnącego zapotrzebowania cen korków.

II. Każdy subskrybent ma przy subskrypcyi złożyć tytułem zadatku 50 K, wpłata zaś subskrybowanej kwoty nastąpi w następujących ratach:

15. października 1900 r. starzy akcyonaryusze po 300 K, a nowi po 350 K od akcyi, w co wliczy się zadatek.

1. kwietnia 1901 r., 1. października 1901 r. i 1. kwietnia 1902 r., po 250 K (słownie dwieście pięćdziesiąt).

UWAGA: Kto z pp. Subskrybentów zechce w całości z góry akcye wpłacić, temu bonifikować się będzie 5% odsetek od dnia wpłaty aż do terminów ratalnych, powyżej ustanowionych.

III. Na powyższe akcye subskrybować można od dnia ogłoszenia niniejszego prospektu do 30. września 1900 r. włącznie:

w **Krakowie:**	w Filii Banku hipotecznego,
	„ Filii Banku krajowego,
„ **Tarnowie:**	„ Zastępstwie Banku krajowego,
„ **Rzeszowie:**	„ Zastępstwie banku krajowego,
„ **Lwowie:**	„ Banku krajowym,
	„ Banku hipotecznym,
„ **Stanisławowie:**	„ Expozyturze Banku hipotecznego,
	„ Zastępstwie Banku krajowego,
„ **Tarnopolu:**	„ Filii Banku hipotecznego,
	„ Zastępstwie banku krajowego,
„ **Czerniowcach:**	„ Filii Banku hipotecznego,
	„ Bukowińskim Zakładzie kredytowym ziemskim.

IV. Po dokonanej subskrypcyi zastrzegają sobie podpisane Banki dowolny przydział sztuk, z pierwszeństwem na mocy układu z bukowińskim funduszem religijnym dla bukowińskich interesentów do ilości sztuk 250.

We Lwowie, dnia 31. sierpnia 1900

Bank krajowy królestwa Galicyi
i Lodomeryi z W. Ks. Krakowskiem

C. k. uprzyw. Galicyjski Akcyjny Bank Hipoteczny

Bukowiński Zakład Kredytowy Ziemski

Galicyjskie Akcyjne Towarzystwo Przemysłu Cukrowniczego w Przeworsku

zezwala Pp. plantatorom buraków zarówno fabryki przeworskiej, jak i nowych fabryk wpłacać akcye częściowo burakami w sposób następujący:

I. rata płatna gotówką jak, powyżej, dla ogółu akcyonaryuszów, dalsze 75% nominalnej wartości akcyi rozłożone będą na 5 lat po 15% płatnych dostawą buraków w odnośnych 5-ciu latach. Plantator wpłacający w ten sposób, ma prawo pobierania dywidendy od całej akcyi za strąceniem jedynie tego procentu, który Towarzystwo pożyczającemu bankowi zapłaci od uzyskanej na te akcye zaliczki. Plantatorowie fabryki tarnopolskiej ze względu na 2-letnią budowę będą płacić I. ratę burakami w jesieni 1902, a od jesieni 1902 pobierać dywidendę w stosunku wpłaty, po zamknięciu 2-giej kampanii Cukrowni czerniowieckiej.

Następnie podaje Towarzystwo do wiadomości:

że 2½% całego kapitału akcyjnego może być podzielone na udziały po 200 K imiennie, czyli po 200 K według kursu emisyjnego. Udziały mają być wpłacone ratami, w tych samych terminach, jakie się przepisuje dla całych akcyi, a wynosić będą: 1-sza: K 70, każda zaś następna po K 50. Udziały mogą być wpłacone także burakami, w sposób analogiczny, jak całe akcye, czyli 1-sza rata w gotówce, a pięć następnych burakami po 15% rocznie.

Podpisane powyżej banki przyjmują zgłoszenia tak Pp. plantatorów buraków, jak i odbiorców na udziały na akcye, w myśl powyższego zawiadomienia i porozumieją się z Towarzystwem co do sposobu sfinansowania tych zgłoszeń.

(Przedruku nie placimy).

Właściciel i wydawca: **K. Kołakowski.** Odpowiedzialny redaktor: **Wład. Strzelecki.**
Z drukarni „Dziennika Polskiego“ (Dra Felixa Woynarowskiego) pod zarządem Franciszka Kattnera, ul. Cicha l. 5.